

W. 1. 389.533

WŁADYSŁAW GNOMACKI

TOWARZYSZ SZMACIAK

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI

1978

WŁADYSŁAW GNOMACKI

TOWARZYSZ SZMACIAK

CZYLI

WSZYSTKO DOBRE, CO SIĘ DOBRZE KOŃCZY

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI

1978

WŁADYSŁAW GINOMACKI

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018156315

TOWARZYSTWO
KRAJOWY ZEMIAK

WSZYSTKO DOBRE, CO SIĘ DOBRZE KONCY



II 1. 239,533A

LITBRACKI

INSTITUT

PARYZ

© COPYRIGHT BY INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., PARIS, 1978

1978 W 890/30

Straszny miał dzień towarzysz Szmaciak —
ach! wprost odchodził od rozumu, —
kiedy uciekać musiał w gaciach
ścigany wyzwiskami tłumu.

Zewsząd sypały się kamieniem
boleśnie bijąc go w siedzenie.
Na szczęście było — jak już wiecie —
sekretne wyjście w komitecie.

Jeszcze ze strachu nie ochłonał,
a za nim już komitet płonął
i płonął w jego gabinecie
największy porno-zbiór w powiecie.

Wielka to strata! bo widzicie,
Szmaciak — koneser i esteta —
pozycje stamtąd wcielał w życie
na licznych schadzkach i baletach.

Lecz cóż tam slajdy! Pies je jebał!
grunt, że się z tego sam wygrzebał!
bo na cóż mu tam seks-figury,
gdy sam zamieni się w dym bury!

Teraz w swej willi siedzi Szmaciak,
już w spodniach w prążki, a nie w gaciach,
owinął przytem się szlafrokiem
i pije scotch z wiśniowym sokiem.

Pije, bo się straszliwie martwi
pod kątem własnym i przyszłości
i bardzo źle myśli o partii,
a kierownictwie w szczególności.

„Cóż się ta ryba nam od głowy
zaczyna psuć, bo rozumiecie,
środek jest prima, dół jest zdrowy,
znaczy się, nie gra coś na szczycie.

Już drugi raz zawodzi Góra.
Gdy krzyk się robi, dajom nura!
A ty się tutaj gimnastykuj
z masami sam na sam na styku!

Wytycznych brak i pytam ja się,
a co z milicją jest w tem czasie?!
Jak nie trza, to się wszędzie szwęda,
a tera znikła pod komendach.

Już sie pod gmachem motłoch zbiera,
na mieście straszny szum i draki,
a tu nikt ognia nie otwiera — —
gdzie się podziały kabewiaki?!!

Pytanie — czyja to robota?
Bo coś mi się tak teraz widzi,
że w K.C. znów rewizjoniści
podnoszą łeb lub inni żydzi.

Tak! niewątpliwie Żyd sie zakradł
i tera ciągnie gdzieś za sznurek!” —
Tu Szmaciak znowu gołnął scotcha
i na zakąskę zjadł ogórek. —

— „To już sie psuje nie od dzisiaj!
Odkąd zgnoił Mieczysława,
a Franek tyż z tej puli wysiadł,
zaczęła śmierdzieć cała sprawa.

Przez zemste żyd tak rozzuchwalił
to całe pierdolone chamstwo —
Cóż będziemy tam dyskutowali!
Trza tylko widzieć fakty, jak są!

Przykłady? Są! Mój kumpel Zdzicho
nieletnią dorwał na baliecie.
Stawiała się, więc dał w pyszczycho!
Poza tym komilfo był. Wiecie,

za to, że uniósł się troszeczkie,
dał jej rajstopy i bluzeczkie.
I co? Myślicie — koniec sprawy?
A skąd! Wzywają do Warszawy!

Taki tam rozdmuchali skandal,
że całkiem wykończyli chłopca,
bo musiał odejść z propagandy
i dziś jest u nas za kaowca!

A drugi przykład: Felczak, wiecie,
drugi sekretarz w Komitecie,
przez plener pruje swoim fiatem
z szybkością stu, jak zwykle. Raptem

na szosę włązą dwa bachory.
Więc stuknął je. Bo byłby chory,
jeżeli zjechałby na boki.
Tam, proszę ja was, spad wysoki.

Zgniótłby przód sobie, zdarł błotniki.
Jaki się podniósł rejwach dziki!
Cudem nie poszedł do więzienia,
lecz nie uniknął przeniesienia.

I trzeci przykład: Wzięlim chamów
raz do nagonki na zające.
Patrzę: kumpel już sześć ustrzelił,
Mój cham wałęsa się po łące!

Tak zdenerwował mnie chamisko,
że mi zwierzyny nie nagania,
żem doń wygarnął — ot, i wszystko!
Wypadek podczas polowania!

Żeby go chociaż mocno zranił!
ale ja tylko śrutem w tyłek!
Gdyby nie interwencja Kani,
starliby mnie tam w proch i w pyłek!

Do czego doszło! Żeby szlachtę
przed sądy pozywały chłopcy!
To cud, że jeszcze za koncesje
prywaciarz nam odpala hopy!"

— Tu znowu golnał. Że się wkurwił,
poprawił trzema. Raz za razem.
We łbie mu trochę zaszumiało,
jest, jak to mówi się, pod gazem.

Więc się rozrzewnił nad swą dolą:
— „Za co, sie pytam — woła — za co
wypróbowanym towarzyszom
tak złem za wierną służbę płacą?!”

Chłopięciem będąc, ja w Zet-Wu-Em
ogniową przechodziłem próbę
i z narażeniem na plebana
donosy przynosiłem U.B.

Potem, gdy wciągnął mnie aparat,
szczególnie zaś referat rolny,
jakżem ofiarnie walczył z stonką,
sówką chojnowką, żukiem polnym!

Także na polu rozkułaceń
miałem ogromne rezultaty!
Twardo ścigałem kontyngenty!
kto nie chciał zdać, to zara baty!

A później, kiedy zmienił kurs się,
to kto bez żalu i szemrania
do Zjednoczenia pegeerów
poszedł na szefa planowania?!

Z jakim to materiałem ludzkim
jam sie użerał! Cóż wy wiecie!
zanim mnie Rysiek tuż przed Marcem
tu nie osadził na powiecie.

Spokojnie było tu. Choć syjonizm
także zapuścił swe korzenie
i Pawlak, personalny w Z.G.,
był Żyd, choć sie zaklinał, że nie!

Na ogół jednak szafa grała,
bo choć kombinat tutaj mamy,
nie było żadnych strajków w Grudniu
i cały czas tyrały chamy.

Potem, pod hasłem „pomożemy!”
szukalim, wicie, tych miliardów.
Niestety! nic my nie znaleźli.
Przecie tu Pcim, nie wyspa skarbów!

A jak umieli my dla władzy
wpoić tu posłuch, respekt, miłość!
Do czerwca bieżącego roku
żadnych warchołów tu nie było!

Więc człowiek rósł i szedł do góry,
zakończył studia bez matury,
niejedno dostał odznaczenie
i nagle — takie zaskoczenie!”

Szmaciak się znowu wkurzył wielce
i zaczerwienił się na karku.
Że widać było dno w butelce,
po „żyto” sięgnął więc do barku.

„Żyto” jest ostre. Gdy przez przełyk
przeszła mu tego „żyta” struga,
Szmaciak się jeszcze bardziej zeźlił
i teraz na całego ruga:

— „Do kurwy nędzy! Wy ciapciaki!
matoły! koły! wy barany!
Do czegośta doprowadzili
ten nasz ludowy kraj kochany!

Ludzie! powiedzta, komu służem?!” —
Tu straszny rzucił im epitet. —
„Kto słyszał — pytam — żeby motłoch
podchodził w Pcimiu pod Komitet?!!

Co więcej — on go nawet spalił,
spalił go, mówię, żywem ogniem,
a mnie, sekretarzowi swemu,
ściągnęli jeger — jak i spodnie!

Kto tak rozbestwił tę hołotę?!
Ten foksz ze Śląska — jakież to wał!
Wiesiek, kiedy mu zaszurali,
to on sie chociaż konfrontował!

I gdyby Grzesiek zdołał jeszcze
te stocznie zbombardować, to by
motłoch nie włożył nam na głowy
i człowiek czułby się bezpiecznie.

A tak, to aż się chamy trzęsą,
lecz nie ze strachu, a z wściekłości —
więc albo dajta im to mięso,
albo też im połamta kości!!

Trzeba się na coś zdecydować,
bo tak to tylko można wściec się!
Proszę, ja mogie być leberał,
tylko wy o tem mnie powiedzcie!

Musi być jakaś derektywność,
nie to dreptanie w miejscu wieczne,
bo tak to kadra sie załamie,
co może stać się niebezpieczne.

Dzwonię ja dzisiaj do Maczugi —
Maczuga, to komendant M.O. —
i go sie pytam: co jest, Wacek?! —
a on mi pieprzy nie na temat!

No, moi drodzy, w tych warunkach
pracować, żałość to i smutek!
Cóż to, mam dla ich przyjemności
Orдона robić tu redutę?!

Przyszłość ja widzę całkiem czarno,
to może skończyć bardzo źle się...” —
Więc dla kurazu chlusnął w gardło
tak wprost z butelki, ze dwie trzecie.

Coś potem bredził, coś bełkotał,
ale powoli wystygł zapał,
i Szmaciak zsunął się z fotela,
rozdziawił gębę i zachrapał.

Spi ciało. A tymczasem dusza
w mroczną krainę snu wyrusza.
Sen to dziedzina zagadkowa,
niejedną niespodziankę chowa,

bo choć udaje często jawę,
rządzi się jednak własnym prawem,
zaś będąc tylko urojeniem,
zawsze ukryte ma znaczenie.

Sni Szmaciak sen zgoła banalny:
Budzi we własnej się sypialni,
ale mu bardzo ciąży głowa.
Wiadomo: pił, to rzecz nie nowa.

Picie, jak o tym dobrze wiecie,
jest zawsze w modzie w Komitecie.
Po picciu kac jest, puchnie ryło...
Więc, jakby nic się nie zdarzyło,

Szmaciak, że jest w działaniu prędko,
zrywa się, biegnie do łazienki,
by tam dokonać toalety,
staje przed lustrem i... O, rety!!

Nie może być!! Przeciera oczy,
myśląc, że kac go jeszcze mroczy,
potem paznokcie w ciało wbija,
lecz wszystko na nic! Widzi ryja!

Kiedy w pijackiej trwał niemocy,
ryj mu zniemacka wyrósł w nocy.
Ryj świński! to dopiero chryja,
gdy zamiast twarzy ma się ryja!

Ogląda w lustrze ryj krytycznie —
No, nie jest znowu tak tragicznie!
Od twarzy znów tak różny nie jest!
Więc, gdy poleje go yardleyem,

da na to krem, a potem puder,
odróżnić będzie można z trudem.
A zresztą kładzie na to lagę!
On przecież w Pcimiu ma powagę

i tak jest wielka jego władza,
że tych, co będą nosem kręcić,
przepędzi zewsząd i powsadza —
ma ryj, lecz ma go z własnej chęci!

Tu bardzo groźnie coś zachrząkał
i z wielkiej złości puścił bąka.
„Tera już całkiem świnia jestem!” —
oświadczył lustru z dumnym gestem.

Do Komitetu! Rządzić! Władać!
Zaleźć za skórę! Bobu zadać!
Niech płaszczą się przed groźnym wieprzem!
„Płaszczącym się ja też przypieprzę!”

Tu, jak to często we śnie bywa,
wątek zniecka się urywa.
Szmaciak jest w Pcimiu. Zlany potem
do K.W. pruje na piechotę.

Czemuż nie pędzi czarną wołgą
z szoferem, patrząc zza firanek
z pogardą na rozlażłe miasto?
Ach, sny są pełne niespodzianek!

Miasto zaś nie jest dziś rozlażłe
i idąc, mija grupki ludzi,
w których — o zgrozo! — jego wygląd
niezwykłe rozbawienie budzi.

„Palcem mnie pokazują, chamy!” —
myśli ze złością — „ach, wy śmiecie!
jeszcze ze sobą pogadamy,
kiedy zasiąde w Komitecie”.

Lecz tak kapryśna jest snu fala,
że wciąż Komitet mu oddala.
O! już za rogiem się wyłania!
Gdy wtem go senna mgła pochłania.

Szmaciak się nagle znalazł w tłumie.
Tłum krzyczy coś, on nie rozumie,
jest przerażony i wstrząśnięty.
Nagle spostrzega transparenty:

„PRECZ Z SAMOWOLĄ APARATU!”
i „WŁADZA DLA PROLETARIATU!”
i „ŚMIERĆ KRWIOPIJCOM KRWI ROBOCZEJ!”
aż z orbit mu wyłażą oczy

i latać mu zaczyna grdyka.
Nagle ktoś palcem go wytyka,
tłum nań napiera, krzycząc: „Sznura!” —
Na szczęście zdążył dać w czas nura.

Sen szybko swe obrazy zmienia.
Szmaciak już nie drży z przerażenia,
ale jest w środku, w Komitecie,
i to w swym własnym gabinecie.

Lecz, rzecz to całkiem niepojęta,
jest w charakterze tam petenta,
za biurkiem zaś nie siedzi Szmaciak,
ale ubrany w brudny waciak

Deptała, majster z kombinatu.
„O Matko Święta! Ty mnie ratuj!” —
pomyślał Szmaciak, bo z Deptałą
niejedno mu się rymowało.



Deptała to osobny rozdział
w życiu naszego bohatera.
Niejeden raz tego Deptałę
on zdeptał już i sponiewierał.

Pierwszy raz zetknął się z Deptałą,
gdy Nowe na wsi zaświtało
i kiedy oddał się w całości
szerzeniu wiejskiej spółdzielczości.

Chłop ciemny nie chciał do kołchozu
i gad kułactwa wznosił głowę.
trzeba więc było zastosować
metody ostre i surowe.

A że ruch musiał być oddolny
i całkowicie dobrowolny,
musieli dzielni z U.B. chłopcy
często pejzanów brać pod obcas.

Więc Szmaciak jeździł, chłopów zbierał,
a gdy się któryś zbyt opierał,
to tak go długo kopał w nery,
aż wzbudził w nim entuzjazm szczerzy.

Niestety, we wsi Wądół Kaczy
zetknął z nasieniem się sobaczym.
Tępy, uparty chłop Deptała,
choć brać ubecka tęgo prała,

a nawet mu duszono grdykę,
psuł Szmaciakowi statystykę.
Szmaciak się zawiązał nań okropnie
i pewny był, że swego dopnie.

Tak też się stało. Gdyż fortuna
odważnym sprzyja. Wielka łuna
rozbłyska nagle nad Wądółem
i ogień z hukiem żre stodołę.

Płonie stodoła w pegeerze,
pusta zupełnie, mówiąc szczerze,
bo kiedy nadszedł okres siania,
wszyscy chodzili na zebrania,

więc cały zapas, co był, ziarna,
już nie, że wroga stonka zżarła,
ale go zwykle szare myszy
skonsumowały w wielkiej ciszy.

Wiadomo, ognia bez przyczyny
nie ma. Jak jest, to z czyjejs winy.
Wróg niewątpliwie go podłożył,
wróg, bo go nowe na wsi trwoży,

więc udaremnić chce nam zbiory,
pola zamienić zaś w ugory,
by miast spółdzielczych jasných łanów
kwitła tu znowu władza panów.

Ten wróg ohydny to Deptała!
Wsi czarna owca i zakała!
Z kim w zмовie był, wykaże śledztwo!
Natychmiast do Urzędu wlec go!

Już czeka dzielnych chwatów czwórka:
Szmaciak, Maczuga, Buc i Rurka,
trzech jest w cholewach i w mundurze,
a Szmaciak, jako cywil, w skórze.

Chłop już ocieka zdrowo juchą,
bo gdy go wieźli, dostał w ucho.
Strasznie to chłopców rozczmuchało,
że pobrał już zaliczkę małą.

— „Zaraz dostaniesz resztę, wszarzu!” —
wykrzyknął z rozbawioną twarzą
Maczuga i jak nie doskoczy
i lu go! pięścią między oczy!

A potem Buc, a za nim Rurka
i Szmaciak, potem cała czwórka
prała go, że aż szło dudnienie —
to w nerę kop! to w przyrodzenie!

to w zęby! w zębra! Aż sapali
z wielkiej emocji i wciąż prali.
Wreszcie się wyczerpała werwa.
Na papieroska mała przerwa.

Z rozkoszą dym wciągają w płuca,
Szmaciak już jakiś żarcik rzuca...
Patrzą, co dzieje się z Deptałą
i aż ze śmiechu ich zatkało,

bo widok był niezmiernie draczny:
po ziemi pełzał cham pokraczny,
znacząc za sobą ślad posoką,
A z gęby mu spływało oko.

Wszyscy dostali odznaczenia
za wielce bohaterski wyczyn
i Szmaciak szybko szedłby w górę,
gdy nagle, z niepojętych przyczyn,

wszystko raptownie się odmienia,
cofają dawne odznaczenia,
jest czystka w rolnym referacie,
unieważniają nominacje,

o dzielnym mówią zaś Urzędzie,
że w wypaczeniu tkwił i w błędzie.
Szmaciak był błąd, w nerwach cały.
Przyszło zwolnienie dla Deptały

i ten zakąła, wróg niedawny,
zaczynał być w powiecie sławny,
bo dostał rentę niewysoką
i na koszt państwa szklane oko.

Na szczęście były w partii siły,
co kres tej orgii położyły.
„Owszem, przegięto nieraz pałę,
ale zasługi tyż niemałe

w minionym mieli my okresie,
toteż wydaje słusznem mnie się,
aby nie tolerować dłużej
krytyki, która wrogom służy.

Że był niesłuszny kult jednostki,
wyciągniem z tego słuszne wnioski
i zmienim politykę rolną,
lecz ludzi krzywdzić nam nie wolno!”

Strach ma więc zawsze wielkie oczy.
Nie dawać mu się! Więcej męstwa!
I Szmaciak znowu pewnie kroczy
po nowe laury i zwycięstwa.

Bez żalu rzucił Wądół Kaczy,
na los już więcej nie sobaczy,
wie, że mu partia ufa, a to
z sowitą łączy się zapłata.

Już z nowym wrogiem toczy walkę,
już ma lodówkę, wózek, pralkę,
zoneczkę — tłustą badylarę
i z nią rozkosznych dziątek parę.

Pruje ku górze, rośnie w piórka,
zajmuje coraz lepsze biurka,
aż wreszcie w nowej czas odnowy
staje się władcą powiatowym.

Ze Szmaciak jest kombatant sławny,
ściąga do Pcmia kumpli dawnych,
na stanowiskach ich osadza,
przez co się bardzo wzmacnia władza.

Maczuga jest milicji szefem,
Rurka, że ma na karku głowę,
jest dyrektorem kombinatu,
zaś Buc ma związki zawodowe.

Kombinat Szmaciak nie bez racji
uznał za teren kombinacji
i razem z swoich kumpli trójką
stał się naczelną jego dójką.

W systemie centralnego planu
prosta dojenia jest technika,
bez żadnych bowiem ograniczeń
można tu doić robotnika.

Nad tym, jak doi się centralnie
przez plany, normy, płace, ceny,
nie trzeba wcale się rozwodzić,
bo wszyscy to dokładnie wiemy;

lecz w tym tkwi całej rzeczy sedno:
doić dla góry, to jest jedno,
a drugie — „no, kochani moi!
dla siebie trzeba tyż podoić!

Nie po to znieśliśmy kult jednostki,
by bogaciły się jednostki,
zaś równość na tem się zasada,
żeby doiła wszelka władza!”

Każdy tak doi, jak potrafi,
zależnie od formatu główki.
Maczuga, że zbyt bystry nie jest,
doi nachalnie, przez łapówki;

Zakład natychmiast zwiększył plany,
już proł się po nim nie wałęsa,
lecz tyra wciąż na cztery zmiany
za niezmienną nędzną pensję.

Bo cóż właściwie się zmieniło?
Jedynie blach do wozów ilość.
Nie wykazano przecież w planie,
że jakość też uległa zmianie,

gdyż religianckie talizmany
szpeciłyby laickie plany,
poza tym mógłby prokurator
dostęp do kranu odciąć kratą.

Oparty o bezbożną władzę,
rozwijają się interes święty
i naszych dzielnych chwatów spółka
z garnia krociove dywidendy.

Ach! nie masz to jak życie w Pcimiu!
Po prostu istna to idylla!
W nowej dzielnicy Zbójnikowo
za willą się buduje willa!

Powstał też w mieście klub rajdowca,
nocny kabaret „Czarna owca”
i, choć się mało o tym słyszy,
przytulny puff dla towarzyszy.

Pewnego dnia do gabinetu
w ukłonach gnąc się, wszedł Wylizuch,
ten z socjalnego, i powiada:
— „Ja, towarzyszu, w sprawie zgryzu.

Zgryz mamy mianowicie taki:
zgłasza się majster z kombinatu,
że mu niesłusznie ścięto premię —
— to nie nasz resort — mówię na to. —

Idźcie z tym do prezesa Buca.
(Buc takich to za kark wyrzuca). —
Lecz on już był i się upiera,
że to jest sprawa partii teraz.

— Wyście jest partia robotnicza —
powiada — więc ja z tej żalości,
jako że sam robotnik jezdem,
was prosić chcę sprawiedliwości!

Widać, że tępy jest to pacan,
a tacy, mówiąc między nami,
lubieją wciąż rozrabiać wyżej,
więc proszę, zdecydujcie sami”.

Szmaciak w szampańskim był humorze,
wczoraj sukcesy miał nielada,
bo wygrał rajd do Górnej Bździny
i szyku na balecie zadał.

— „Sprawiedliwości szuka? Tutaj?” —
krzyknął — „a to dopiero wariat!
Dajcie go! Niech me oczy ujrzą
ten uciśniony proletariat!”

Z radości aż zaciera dłonie —
on tego głupka zrobi w konia!
Wysłucha, że się przejął, uda,
a potem dziać się będą cuda!

„U nas, widzicie, w Pcimiu, robot
nie jest bezczelny i nachalny,
ponieważ tu panuje jeszcze
dobry obyczaj feudalny.

My tu z chamami ceregieli
nie robim. A jak jakie śmiecie
zaczyna podskakiwać, to go,
nim się obejrzy, z miejsca zmieciem!”

Lecz sprawa tak z pozoru łatwa
ni stąd, ni z owąd wnet się gmatwa,
bo rzecz się niesłychana stała:
do gabinetu wszedł... Deptała!

Jak Macbeth, kiedy widmo Banka
stańło przed nim wśród biesiady,
Szmaciak z wrażenia zaniemówił
i zrobił się śmiertelnie błąd.

Bo, choć Szekspira nie był znawca,
lecz zawsze stropi się oprawca,
kiedy znienacka mu ofiara
swe żale się wyłuszczyć stara.
Nie dziwno więc, że doznał szoku.
Już dawno o wybitym oku
i o wyczynach swej młodości
zapomnieć zdołał. Te wspomnienia
zaczęły go niezmiernie złościć,
kiedy się wynurzały z cienia.
Choć ciągle upatrywał chlubę
w młodzieńczej swej współpracy z U.B.,
pod wpływem własnej propagandy
już wierzyć zaczął, że to bandy
były straszliwe i potężne,
z którymi boje staczał mężne,
swe młode narażając życie —
a nie bezbronných chłopów bicie.

I nagle drab, co przed nim stanął,
wywleka prawdę nielubianą,
szczerbę w przepięknym robiąc micie —
takie to figle płata życie!

Szybko się jednak opamiętał
i czujnie spojrzął na petenta.
Nie trzeba wpadać wprzód w wariację,
nim się rozpozna sytuację.

Już maluteńki jego mózdzek
jak bardzo sprawny komputerek
zaczął obliczać błyskawicznie
rozlicznych możliwości szereg.

Pierwsze pytanie się wyłania:
kto mu tu nasłał tego drania?!
A potem drugie: w jakim celu
zjawia się tu po latach wielu?

Szmaciak nie wątpił ani chwili,
że się w tym kryje gdzieś intryga
i że nie zjawił się przypadkiem
zebrząc o łaskę ten dziadyga.

Przypadek byłby to zbyt rzadki.
A czy w ogóle są przypadki?
Prędzej ugryziesz własny zadek
niż trafisz w Pcimiu na przypadek!

Szmaciak jest czujny. Wszak niedawno
bataię stoczył w Pcimiu sławną,
o władzę, w której stał Wardegę —
pcimską wyrocznie i potęgę.
Wykazał przytem wielką klasę,
wykończył bowiem go z hałasem.
Jak? O tym jeszcze mowa będzie.
Lecz choć się rozparł na urządzie,
choć był wszechwładnym w Pcimiu panem,
to czasem budził się nad ranem
w śmiertelnym strachu, że Wardegę
podstępnie znów po władzę sięga.
Ach, co tu gadać! To dziadziśko
z niejednym bonzą było blisko
i choć dziś był zupełnym zerem,
jeżeli zwietrzyłby aferę,
mógłby podesrać mu ohydnie,
bo to jest wredne, mściwe bydlę
i ma tu wtykę, a ta wtyka
w Szmaciaka sprawy nos wciąż wtyka!

Deptąła, jak to stary prolet,
głędzi bez ładu coś i składu,
to żali się na ciężką dolę,
to znów swe życie opowiada,
jak gospodarzył, potem przestał,
bo podpalono we wsi szopę —
— Szmaciak by go już dawno zbeształ
i posłał za drzwi tęgim kopem,
lecz wciąż ta myśl go niepokoi,
że ktoś tu za tym dziadem stoi
i nasłał tego tu matołka,
aby wysadzić go ze stołka.
Spokojna czaszka! Bowiem takie
numery, to nie ze Szmaciakiem!
Trza tylko kapnąć, w czym jest zdrada,
a potem rozgnieść tego gada!

Więc chociaż nudzi go szalenie
rozwlekłe prolskie to gędzenie,
nadstawia ciągle czujnie ucha,
pewien, że w końcu się dosłucha.

Żeby się jednak dziad nie strwożył,
na twarz łaskawy uśmiech włożył
i spod tej maski chyłkiem, boczkciem,
świdruje go swym chytrym oczkiem.

Deptała swą opowieść snuje:
jak poszedł pracy szukać w mieście,
jak się tam różnych zajęć imał,
jak poszczyściło mu się wreszcie
i los skierował go do Pcimia.
W Pcimiu kombinat powstał właśnie
i były tam wysokie płace,
lecz brakło ludzi, więc Deptała
natychmiast dostał dobrą pracę.
Że się w robocie wnet odznaczył,
posłano go na kurs spawaczy.
Zły los więc wreszcie się odmienił.
Deptała w Pcimiu się ożenił,
bachorów spłodził całą furę,
słowem, spokojnie piął się w górę...

Lecz nie jest to fakt bez znaczenia,
że rzeczywistość wciąż się zmienia...

Po latach, hen, na samej górze
dziać się zaczęły rzeczy duże,
gdyż Bagno ze swą silną grupą
postanowili ruszyć kupą.
Nie były wcale to przechwałki.
Grupa za sobą miała pałki.
Gdy nie stać cię na długie noże,
pałką też wiele zdziałać możesz.
Poza tym nóż to rzecz germańska,
a pałka nasza — prasłowiańska,
i pewien car tak pałki lubił,
że się przydomkiem „Pałkin” chlubił.
Pod rząd łyknąwszy trzykroć sto gram,
Bagno wysunął nowy program,
w tym zaś programu leżał ogrom,
że to nie program był, a pogrom.

Gdy stary Gnom wciąż na mównicy
wyliczał komy i procenty,
Bagno i jego harcownicy
chyłkiem włązili na urzędy.
Mówiono nawet o nich: „cisi”.
Lecz im to określenie wisi,
bo wnet pozycję swą utwardzą,
a wtedy będą głośni bardzo.
Najwyższy czas zmienić aparat!
Wśród ciągłych zebrań, swarów, narad,
zgnuśniała całkiem kadra stara,
a tu już czeka nowa wiara,
zwarta i prężna i gotowa
wszystkich za mordę wziąć od nowa!
Że atrakcyjność starych zgasła,
wysuwa ona nowe hasła.
Jej hasła: naród i koryto!
Narodem oni są niby to.
Cóż to za „oni”? któż to taki?
To jasne! Oni — to Szmaciaki!

Kiedy powoli kraj nasz cały
zbrodniczej bredni cień pokrywał,
oni w tym cieniu dzielnie rośli
jak grzyb trujący i pokrzywa.
Szmaciaków wyhodował ustrój
ze trzy już chyba pokolenia.
Pierwsze wkroczyło na arenę
tuż po tak zwanym „wyzwoleniu”.
Szeregi zasilając partii,
czynili to z pewną rezerwą,
bowiem nie byli jeszcze pewni,
czy kiedyś za to nie oberwą.
Lecz ustrój przetrwał pierwszą próbę,
wstąpili zatem i do U.B.,
albowiem mając szmal na względzie,
gdziez lepiej działać niż w Urzędzie!
W Urzędzie dają broń i władzę,
a wokół kraj jak Zachód dziki!
Można więc niezłe nabić kabzę
i to w dodatku bez ryzyka.
Szmaciaki, że nie bite w ciemię,
na Odzyskane pędzą Ziemię,
tam w wielki się włączają szaber,

bo każdy z nich jest homo faber.
A jeśli któryś z nich był chory,
lub jechać nie mógł z innych względów,
to przecież ma na miejscu dwory,
do których wkracza się z Urzędu.
Rzecz jasna, że i dla idei
trzeba też skopać porcję nerek,
lub za bezdurno w łeb czyjś strzelić —
wszak koszta każdy ma interes.
Szmaciaki nie dla przyjemności
łamią ci żebra, duszą grdykę,
ale dlatego, że ich byznes
ma taką dziwną specyfikę.
Choć niebываły mieli sprycik,
wciąż im trudności sprawiał diamat.
Założyć można więc, że tutaj
późniejszy się zawiązał dramat.
Bo chociaż oni naszej partii
tworzyli tron niezwykle zdrowy,
w wejściu na same szczyty władzy
stale im przeszkadzały głowy.
Szmaciak jest urodzony praktyk
i nie ma serca do teorii,
a wówczas tylko małamedzi
w partyjnej mogli chodzić glorii.
Nie mogąc małamedom sprostać,
musieli wnet kompleksów dostać,
a jak nas uczy Freud profesor,
w człowieku budzi się agresor,
gdy mu o sobie złe mniemanie
nasunie z innym porównanie,
gdyż nikt nie godzi się z ochotą
z tym, że jest zwykłym idiotą.

Ze wszystkich rzeczy świata, Szmaciak
tych dwóch najbardziej nienawidzi:
pierwszą z nich jest inteligencja,
a drugą zaś stanowią Żydzi.
Dlatego, jak to wszem wiadomo,
Szmaciaki duszą są pogromów,
a także lubią „białą rączkę”
przyprawiać o śmiertelną drżączkę.
Lecz chociaż było to wiadomo,
niezwykle w partii hołubiono

Szmaciaków pierwsze pokolenie.
W poezji byli w wielkiej cenie,
wszystkie partyjne pięknoduchy
wielbiły ich w śpizowych strofach
i w wierszach stale się pojawiał
to zuchowaty z U.B. chłopak,
to major, który ciemną nocą
zadzyszki dostał wroga grzmocąc,
i innych bojowników roje. —
Szmaciaki zaś wiedziały swoje.

Tak się historii koło kręci,
że najpierw są inteligenci,
co mają szczytne ideały
i przeobrażać chcą świat cały.
Miłością płonąc do abstraktów,
najbardziej nienawidzą faktów,
fakty teoriom bowiem przeczą,
a to jest karygodną rzeczą.

Kochają Ludzkość i Człowieka,
ale człowieka przez „C” duże —
ideę, która buja w chmurze;
toteż ich żywy człowiek wścieka,
gdyż będąc tej idei cieniem,
zarazem jest jej wypaczeniem —
empiria bowiem bardzo brudzi
teoretycznych, czystych ludzi.
W świecie im nie podoba to się,
że wciąż pograża się w chaosie
i że nie rządzi nim Zasada,
którą u podstaw się zakłada.
Wielkim nieszczęściem jest ludzkości,
że ma sąd błędny o wolności,
bo stąd się zło największe bierze,
że nie żyjemy w falansterze,
lecz każdy pragnie w pojedynkę
zdobyć dla siebie szczęścia krzynekę.
Oburzające to dążenie
gmatwa Historii bieg szalenie
i zwodząc Ludzkość na manowce,
uniemożliwia wszelki postęp.
Wokół się dzieją potworności,
szaleją dzikie namiętności,

egoizm oraz zysku żądza
straszliwe orgie w krąg urzęda,
odczłowieczona zaś jednostka
o wspólne dobro się nie troska
i w walce jednostkowych racji
ulega całkiem Alienacji.

Ludzkość, to Całość, jak wiadomo,
a nie zaś zbiór, gdzie byle homo
może na własną rękę rościć
sobie pretensje do wolności.
Za filozofa idąc radą,
nareszcie sobie to uświadom,
że Wolność właśnie tkwi w przymusie
i z entuzjazmem poddaj mu się.
By mogła zapanować Równość,
trzeba wpierw wdeptać wszystkich w gówno;
by człowiek był człowieka bratem,
trzeba go wpierw przeciwzyć batem;
wszystko mu także się odbierze,
by mógł własnością gardzić szczerze.
Ubranko w paski, teczka, kilof
niezwykle życie ci umiła,
a gdy już znajdziesz się za drutem,
opuści troska cię i smutek
i radość w sercu twym zagości,
żeś do Królestwa wszedł Wolności,
gdzie wreszcie będziesz żył godziwie,
tyrając w twórczym Kolektywie.

Tak sobie owi mędracy mili
wszystko to pięknie wymyślili.
Lecz człowiek marną jest istotą
i zamiast poddać się z ochotą
ich światłym i zbawiennym rządóm,
hołduje starym wciąż przesądom,
że zaś zepsuty jest do gruntu,
ucieka nawet się do buntu.
By można było ludzkość zbawić,
trzeba się najpierw z nią rozprawić,
bo tylko z morza krwi i męczarni
zrodzi się przecudowna tęczą.
Zatem do dzieła! Lecz niestety!
Ci bezlitośni myśliciele

tylko w teorii poczynają
sobie tak dzielnie i tak śmieie.
Bo chociaż zabijanie ludzi
niezwykły w nich entuzjazm budzi,
sami są tacy jak de Sade,
co ksiąg swych własnych nie szedł śladem,
lecz był ponurym idiotą,
co piękne róże rzucał w błoto.
Zanim więc wielką rzeź rozpoczną,
wprzód gwardię muszą mieć przyboczną,
która ich krwawe fanaberie
będzie wcielała w życie serio.
W trzasku gilotyn, w salwy huku
ideał sięga wreszcie bruku.
Muzyki miłej tak dla ucha
w swym gabinecie mędrzec słucha
i dumny, że dokonał cudu,
myśli o gwardii: to kwiat ludu!
Prawdziwi to idealiści,
bo nie dla własnej swej korzyści,
lecz dla przyszłego szczęścia świata
spełniają szczytną misję kata!

Tak myśląc, błąd popełnia gruby,
załazek swojej przyszłej zguby.
Kto w szpony dostał się hipostaz,
rzeczywistości już nie sprostą,
bo spoza gęstej mgły abstraktów
najprostszych już nie widzi faktów —
nie jest więc rzeczą nadzwyczajną,
że za kwiat cudny bierze łajno.
A łajno śmierdzi, łajno rośnie
w terroru przecudownej wiośnie,
aż w końcu staje się potęgą
i coraz wyżej pragnie sięgnąć.

Kiedy łaknący krwi mądrała
zaczyna cały świat rozwalać,
aby na gruzach tego świata
urzeczywistnić Sen Wariata,
gdy absolutnej chcą Równości
wszystkim dokoła łamie kości
i nas pod straszne jarzmo włacza,
by zniszczyć instynkt posiadacza,

to jego wierni pretorianie
mają odmienne nieco zdanie
o swojej przyszłej perspektywie, —
czemu się zresztą trudno dziwić.

Brudną i mokrą swą robotą
przecież parają się nie po to,
by takie odnieść stąd korzyści,
że obłąkańczy sen się ziści
i że im także głowy utną,
bowiem ten sen się kończy smutno.

Przeciwnie — oni happy endu
pragną, więc boją się obłędu.

Kiedy zwycięskie toczą boje
ze straszną reakcyjną hydrą,
to chcą mieć pewność, że na zawsze
zdobędą to, co hydrze wydrą.

Fanatyzm lśniący w Wodza oku
straszliwy budzi w nich niepokój,
asceza zaś napawa trwogą,
że im zdobycze zabrać mogą.

I tak się oto kończy sojusz
teoretyka z lumpem, bo już,
gdy każdy własną chce iść drogą,
powstaje problem: kto tu kogo?

O, Rewolucjo w Permenencji!

tyś mrzonką jest inteligencji!

a ten twój cały krwawy przerób
daje rezultat równy zeru!

Szmaciak chce władzy nie dla śmichu,
lecz dla bogactwa, dla przepychu!
chce mieć tytuły, forszę, włości
i w nosie Przyszłość ma Ludzkości!

Więc czeka na stosowny moment,
by stuknąć mędrca w główkę łomem
i miast utopii bezklasowej
zbudować feudalizm nowy.

Nowy — boć przecie z mędrca nauk
niejedno mu się spodobało —
koncentrak choćby, czyli łagier
Szmaciak uważa wprost za szlagier.

To także mu utkwilo w głowie,
że ludzkość również jest surowiec,

więc trzeba doić, strzyc to bydło,
a kiedy padnie, strzbić mydło.
Ożywia go zasada prosta:
z wszystkiego można szmal wydostać,
tak jak za okupacji z Żyda —
ach! jak ten trening mu się przydał!
a teraz wyda piękne plony
na cały naród rozszerzony! —
I tak socjalizm w kraju naszym
osiągnął wyższe stadium — faszyzm.

Ach! ten poemat mój rozdęty!
Trzeba w nim zrobić remanenty,
trzeba połowę zeń wyrzucić,
niejedno zmienić, wszystko skrócić,
ten straszny bełkot idioty
na poetyckie wzloty,
ażeby stał się do strawienia!
Lecz jak tu rzeczywistość zmieniać?
jak tu sfalszować doświadczenie?
Nie! mowy nie ma! nic nie zmienię,
nic nie wyrzucę! Bo widzicie —
poemat ten to samo życie!

Dosyć dygresji. Czas do rzeczy.
Chociaż rozsądek temu przeczy,
Szmaciak się bardzo zląkł Deptały.
Jego nieufny mózdzek mały
opanowało podejrzenie,
że za tym wydarzeniem blahym
ktoś groźny kryje się szalenie,
ktoś, kto zna tajemnicę blachy
i, gdy mu gęby się nie zatka,
potworne złoży doniesienie,
po którym urwie się dojenie,
a Szmaciak skończy jak Zawadka.

Do diabła! ten półgłówek Rurka!
wciąż sterczy przy tych swoich kurkach,
nie wykazuje nic czujności! —
Strasźliwie to Szmaciaka złości —

przyjąc Deptałę do roboty —
toż to był pomysł idioty!
Czyżby już wyszło mu z pamięci,
jak ten im pod butami rzeził,
jak nagle strasznym głosem zawył
i spojrzął na nich ślipiem krwawym?!!
I on takiego trzymał zbója!
O, Rurka! tyś jest kawał ch...!

Lecz co się stało, nie odstanie!
Teraz jest ważne nieślychanie,
żeby coś tutaj zachachmęcić,
niby okazać dobre chęci,
parę obietnic złożyć mgliście,
nawet dać awans szantażyście —
sprawa jest przecież oczywista,
że jest Deptała szantażysta!
Inaczej by się tu nie kręcił,
nie niuchał swoim chamskim nosem,
co by tu można wytargować,
ale poleciał wprost z donosem.
A jeśli tym się właśnie zdradzi,
że mu okaże nagle serce? —
Szmaciak się bardzo zafrasował
i w wielkiej znalazł się rozterce. —
Jeśli on nie wie, że jest w znowie,
a tym awansem mu dopowie,
że przy tych złotodajnych kurkach
przyssany był nie tylko Rurka?
Może by zatem raczej donos
na Rurkę złożyć z wyprzedzeniem?
że niby sam te kurki wkręcił,
aby społeczne kraść nam mienie?
Zmówić się z Bucem i z Maczugą
i z mety do więzienia lu go!
Ale to byłaby afera!
Szmaciak by znów orderzy zbierał,
że taki czujny zeń gospodarz...
Trochę tych kurków wprawdzie szkoda...
Lecz jeśli ma karierą płacić?...
Trudno, niech lepiej trochę straci,
a gdy niebezpieczeństwo minie,
pewnie coś znowu się nawinie...

Kopernikańska ta idea,
że krzyknie sam: „łapaj złodzieja!”
i zwierzchność tym zupełnie zmyli,
przechyla szalę w jednej chwili.
Szmaciak już więcej się nie waha,
już przed Deptałą nie ma stracha,

także i tego się nie boi,
kto z tyłu za Deptałą stoi,
bo pogrążając przyjaciela,
natychmiast siebie tym wybiela.
Tej kombinacji idiotyzm
nie jest bynajmniej rzeczą nową —
tak bywa zawsze, gdy despotyzm
z kretyna się sprzymierzy głową.

Że Rurkę zgnoi w kryminale,
Szmaciak skrupułów nie ma wcale,
bowiem wyznaje tę zasadę:
ja na lojalność lagę kładę!
Owszem, gdy idziem jedną drogą,
to kumpel kumpla zawsze kryje.
Drogi się jednak rozejść mogą,
a wtedy jest na wierzchu czyje?
Jeśli wybierasz wierzch, a nie dno,
w refleksie szybszym leży sedno,
z tego więc względu w gówno wtlaczasz
tego, co się nie kapnie na czas.
Drogi rozeszły się, więc teraz
niech ten, co frajer, cięgi zbiera!
Szmaciak ma dość. Ach! Złości go już
ten podejrzany z Rurką sojusz,

bowiem, jak była o tym mowa,
właśnie zaczęła się Odnowa
i nasz bohater pójść zapragnął
w kierunku, który wskazał Bagno.

W tym czasie Bagno — Polak szczerzy —
był pies straszliwy na afery
i z krzykiem: „Polskę Żyd rozkrada!”
mnóstwo swym wrogom ciosów zadał.

W tropieniu przestępstw gospodarczych
tak poniósł go szlachetny zapal,
że się dopiero opamiętał,
gdy się za własną rękę złapał.
Omiał nie potknął się na mięsie.
Lecz w tym nieszczęściu miał on szczęście,
że w porę zdjął świadkowi głowę,
przez co mu całkiem odjął mowę.

Swą dobrą ocaliwszy sławę,
generał wzywa na rozprawę
wierną drużynę i tak rzecze:
— „Nic mi nie obce, co człowiecze

i dobrze o tym wiesz, drużyno,
jak lubię baby, śpiewy, wino,
palbę polowań, biesiad rozgwar —
słowem, powiedzieć o mnie można:

używam życia całą paszczą —
hucznie, z przytupem i hulaszczol
Lecz dziś nie pora na zabawki!
Gra toczy się o wielkie stawki

i wkrótce bitwa się rozhula,
gdzie stawką będzie cała pula!
Gdy ma nam paść PRL do stóp,
zbrodniczym głupstwem jest po prostu
roztrwaniać siły na grabieże
Robi to bardzo złe wrażenie,
a ja morale mam dziś w cenie,
ojczyznę, honor i te rzeczy.
Chociaż to mej naturze przeczy,
zwinąłem konto swe w Zurichu
— a mógłbym mieć je wciąż po cichu —
bo wiem, że w świecie pełnym złości
nigdy nie dość jest przezorności!
Wszędzie mięsiste wężą nosy,
w powietrzu kłębią się donosy —
nie daj Bóg, dojdzie coś do Gnoma!
Przestanie bredzić wnet o komach —
bo jak go znamy nie od dzisiaj,
na punkcie afer ma on hysia!
Nie upilnuje go Walerek,

lewą produkcję i że nie kto
inny, a właśnie sam dyrektor
produkcję wam narzucił ową...
Wy się nie bójcie! Daję słowo —
wszystko zostanie między nami!
Ja także donosicielami
głęboko gardzę! Ale wiedźcie,
tu dobro wchodzi w grę społeczne
i na wysokim swym urzędzie
muszę to dobro mieć na względzie!
Mam tu niejedno doniesienie...
Nazwisk wam wszystkich nie wymienię,
tyle ich! A więc dla sprawdzenia
chcę od was także doniesienia.
Że czujną troskę wykażecie,
partia się wam odwdzięczy przecie!
Zresztą, już wołam Wylizucha!
Wy mówcie, a on będzie słuchał
i wszystko spisze na maszynie,
wy podpiszecie zaś jedynie!
I, jeszcze taka rada moja:
nie oślaniajcie dyrektora!”

Pomysł kretyński, jak się rzekło.
Lecz skąd nienawiść taką wściekłą
Szmaciak odczuwał był do Rurki?
Doili wszak te same kurki,
szli ręką w rękę, by się zdało,
a jednak tu nie wszystko grało.
Poszło o drobiazg. Lecz drobiazgi
są jak wbijane w palce drzazgi —
ot, niby fraszka, całkiem nieszkodliwa,
lecz jaki straszny ból ciało przesywa,
jak wszystkie nerwy dzikim głosem wyją,
kiedy ci drzazgę pod paznokcie wbiją!

Gdy chcesz genezy dociec świństwa,
to musisz sięgnąć do dzieciństwa —
Szmaciak, Maczuga, Buc i Rurka
biegali razem po podwórkach
w małym miasteczku, zwanym Skisłe.
Życie pędzili niezawisłe,
albowiem chłopców tych gromadka
w szkole bywała tylko z rzadka.

Woleli raczej bąki zbijać.
W mieście nie było na nich kija,
bo byli szkodni, czelni, sprytni
i mocni w nogach — nieuchwytni.
Nieraz prawdziwe polowanie
robiono, by im sprawić lanie,
lecz nadaremnie, bo jak lisy
przebiegłe były to urwisy.

Przewodził całej bandzie Rurka —
postrach straganów, król podwórka.
Rurka miał umysł chłodny, ściśły,
więc niebывałe miał pomysły,
które, przy kumpli swych zachwycie,
zwykł był natychmiast wcielać w życie.
Z wszystkich eskapad tych aliści
głównie wyciągał sam korzyści,
gdyż już wychodził z założenia,
że jest stworzony do dojenia.
Maczugę miał za adiutanta;
był niewątpliwy to awantaż,
bowiem Maczuga, raczej małoś,
z wielkich bicepsów słynął za to,
na wodza przeto mógł żądanie
każdemu spuścić tęgie lanie.

Zresztą, Maczuga mordobicie
uwielbiał chyba ponad życie.
Gdy dopadł w kącie gdzieś fajłapę,
to tak mu preparował japę,
że tamten chodził cały w guzach.
Toteż go miano za łobuza.

Buc był ponury, raczej słaby,
lecz go lubiły za to baby
z bazaru, bowiem uważały,
że to sierota jest nieśmiały.
Pupilkiem będąc zaś bazaru,
miał szczeniak dostęp do towaru,
a to w rachubach wodza grało
rolę bynajmniej nie tak małą.
Ponadto Buc, przy nikłych kształtach,
potrafił zręczny być jak mała.

Ostatni z owej czwórki, Szmaciak,
żadnemu z kumpli nie mógł sprostać
w talentach, lecz że się przyczepił
do bandy, więc i w bandzie został.

Grubawy, nieco ślamazarny,
był do ich zabaw kompan marny.
Łaził tam, gdzie go nikt nie prosił,
szalenie lubił też donosić
jednym na drugich. Gdy się gierka
powiodła, w ślipkach miał iskierki,
a gdy dostawał za to w ucho,
stawał się strasznym podlizuchą.

Maczuga go traktował twardo,
Rurka — z ironią i pogardą —
mierzył go, lecz zarazem śmieszył.
Szmaciak się tym niezwykle peszył.

Jedynie z Bucem trzymał sztamę,
gdyż gusta mieli takie same,
lubili bowiem iść w ustronie,
do szopy pełnej pajęczyny,
by w niej ukradkiem walić konie
przez dwie, a nawet trzy godziny.
Lecz Szmaciak nad ten autonierząd
przedkładał był dręczenie zwierząt.
Więc w stawie żaby łowił z Bucem,
potem je do ogniska wrzucał,
by patrzeć, jak se te robole
radzą w odmiennym tak żywiole.
Kotom przypalał pysk nad świecą,
wykluwał ślepia — niech nie świecą! —
lub też je wiązał za ogony —
niech ciągną się w przeciwne strony!

Rurka dręczenie żab i kotów
miał za zabawę idiotów —
wprost przyproważyły go o młodości
te dziwne chłopca namiętności.
— „Z tego się — mawiał — można zrzygać!
I cóż ci z tego przyjdzie? Figa!
Lepiej byś zabił i zdarł skórkę —
lecz co tu gadać z wiejskim burkiem!”

Raz im na jabłka przyszła chrapka,
wyprawę robią więc po jabłka,
lecz nie do sadu, a na bazar,
bo Rurka wielce lubił hazard.
Wmieszali się w gęsty tłum kmiotów.
Rurka znak daje. Buc już gotów,
rzuca petardę. Zamieszanie
robi się wprost nieopisane.
Tymczasem chłopcy jabłka wędzą
i ze zdobyczą do bram pędzą.
Nim tępi chłopi się spostrzegli,
już znikli gdzieś, już się rozbiegli.
Ach! goń tu w polu za wiatrami!
Lecz Szmaciak pomiędzy wózkami
zaplątał się w czasie odwrotu
i utknął. Więc dopadli go tu,
a choć nie zdążył na straganie
nic zwędzić, straszne dostał lanie.
Z płaczem powraca na podwórko.
Tam wielka ucza. Wesół Rurka
z kradzionych jabłek pełnym pyskiem,
cynicznie rzuca węń ogryzkiem
i strasznie szydzi ze Szmaciaka,
że taka z niego jest pokraka.
— „No porycz sobie jeszcze, porycz!”
Szmaciak straszliwą poczuł gorycz,
zaszył się w kąt i chlipał cicho.
Wreszcie pomyślał: pal to lichu!
Skurwysyn! Obrzydliwy drągał!
Najpierw go w nieczne sprawy wciąga,
a potem jeszcze się nabija,
nawet mi jabłka nie dał, żmija!
Zaczął obmyślać zemsty plany.
Na drugi raz on już stragany
uprzedzi w porę. Złapią Rurę,
będą go długo bili w skórę,
aż tryśnie krew! A on z ukrycia
będzie się tym widokiem sycił.

Ale się na to nie odważył —
już wtedy nie posiadał twarzy.

Chłopców już mijał rok piętnasty,
więc zwolna się kończyły żarty,

toteż się Rurka wziął na serio
za dochodową grę w „trzy karty”.

Ta gra, powszechnie w świecie znana,
jest znakomita na pejzana,
bo spostrzec się nie może nijak,
że go się w butlę tu nabija.
Ciągle się dziwi: „Tfy! do czarta!
a dyć tu była nie ta karta!”
Rurka więc wciąż pieniądze zgarniał,
rzecz jednak się skończyła marnie,
bo czy ruch jakiś zrobił błędny,
czy się zamyslił, dość, że nagle
wypadł z rękawa król żołądny
i musiał szybko zwijać żagle.

Spalony był już biedny Rurka.
Usiedli więc w kącie podwórka
i co tu robić, smętnie radzą.
Wtem Szmaciak dumnie się nasadza
i mówi z głupkowatą miną:
— „Daj mnie, ja teraz bank potrzynam,
z ochotą na to się odważę,
bo mnie nie znają na bazarze!”

Niezbale pałac papierosa,
Rurka mu z miejsca utarł nosa!
— „Ty męczychujku! Ty wyskrobku!
Najmij się lepiej do wykopków!
Ty obsługiwać chcesz „trzy karty”?
ty — taki jołop? Wolne żarty!”
I zaczął kpić, że bije pytę,
gdy on już — Rurka — ma kobitę
i to kobitę pirwsza klasa.
To Stefka jest, córka Kulasa.
Jakie ma nóżki! a cyc jaki!
Niech no przyświadczą mu chłopaki!
I tu mu błyska myśl genialna,
że Stefka jest wprost idealna —
co — idealna! wręcz marzenie! —
by ją wystawiać na jelenie.

Tak powstał Rurki z Stefką tandem,
który, niestety, rozbił bandę,
bo gdy ją wodza pozbawiono,
każdy z nich poszedł swoją stroną.

Szmaciak się sam po Skisleń włączył,
różnych szwindelków się nauczył,
lecz nie był żywot to wesoły,
przeważnie bowiem chodził goły.
Lecz wtem — okazja nadzwyczajna!
Szmaciak odkrywa Apfelbauma,
który nazywa się Jabłkowski.
Odtąd już żywot wiódł beztroski.

Przechodząc raz ulicą Szewską,
przypadkiem spotkał się ze Stefką.
— „Cześć! Jak ci leci?” — i od słowa
zaczęła cała się rozmowa.

Stefka ma żal, że Rurka sknera,
że całą forszę jej zabiera,
a gdy się mu jej oddać wzbrania,
to spuszcza jej straszliwe lanie.
Poszli do Stefki, do mieszkania.
Szmaciak ją chytrze spoił wódką,
jeszcze się podroczyli krótko
i Stefka wolny przystęp dała
do sanktuarium swego ciała.
Dumny z zadanej Rurce kłęski,
Szmaciak się poczuł bardzo męski.
— „Obronię cię przed tym bandziorem!” —
Tu Rurka zjawił się nie w porę.
Rzekł lodowato: „Proszę bardzo!
Dmuchać ją, ale nie za darmo!
jest na to stała stawka, bracie!”
Więc Szmaciak jęknął i zapłacił.

Spotkali się po latach paru.
Ze przez ten czas oblicze kraju
pod każdym się zmieniło względem,
związali obaj się z Urzędem.

Rurka, co nad nim był w Urzędzie,
mawiał: — „Z Szmaciaka nic nie będzie!”
Gdy ten przybiegał doń z donosem,
wybrzydzał długo, kręcił nosem,
wreszcie powiadał: „To zbyt mialkie!
to się nadaje na podpałkę!
Wiecznie ten klecha! do znudzenia!
Pewnie ci nie dał rozgrzeszenia
za to, że w kwiecie swej młodości
waliłeś konia bez litości!”
Szmaciaka jednak nie przepędzał
i tak się tej współpracy przędza
snuła przez lata. Wtem kataklizm —
wszystko zatrzęśło się i wali!
Straszliwa czystka jest w Urzędzie
i Rurkę z trzaskiem szef wywalił.
Szmaciak z opresji się wywinął,
szafując zręcznie wazeliną,
potem, jak wiemy, poszedł w górę,
dla Rurki czasy zaś ponure
nastały. Musiał zwiewać z Skisła,
bo straszna chmura nad nim zwiśla.
Sadysta! zbir! zły duch Urzędu!
Nie miano dlań najmniejszych względów.
Szef, co mu dawał dyrektywy,
uderzył zaraz w ton płaczący,
krzyczał, że się pozbawi życia,
bo Rurka robił nadużycia.
Więc sam, choć kazał łamać kości,
najmniejszych nie miał stąd przykrości,
po latach zaś oklaski zbierał,
że humanista i liberał.

Rurka pyzieje na posadce
i sennie się nad biurkiem kiwa,
gdzie nudne tkwią specyfikacje —
wtem Szmaciak go do Pcimia wzywa.
Cóż znaczy gest ten niepojęty?
Czemuż nie szukał nad nim zemsty?
Czyżby aż tak był wielkoduszny,
że złe zapomniał, że przebaczył?!
Ach! my to między bajki włożmy,
bo było to całkiem inaczej!

Szmaciak porobił wielkie długi,
będąc zaś sekretarzem drugim,
bał się, że może to Wardęgi
dojść, że sfałszował sprytnie księgi
i ten przepędzi go z hałasem,
a może także i ciupasem
odstawić każe do więzienia. —
A że talenty Rurki cenił,
liczył, że Rurka mu za awans
pomoże zatuszować sprawę.

Rurka, którego plan nad plany
z pobytem w Pcimiu był związany,
wysłuchał go i rzekł: „Wynika
z tego, że czas wykończyć pryka!”

Więc ryć zaczęli pod nim doły.
Wardęga, który do tej pory
z chytrnością taką się nie spotkał,
z łatwością wpadał tam do środka.

Wardęga, człek podeszły w lata,
był komunistą starej daty
i słyszeć nie chciał nic o komach,
toteż podpadał wciąż u Gnoma.
Co więcej, stary kapepowiec
uważał, że Gnom na manowiec
sprowadza całe społeczeństwo
i że pragmatyzm to błazeństwo,
że jest głupotą stanu racja,
bowiem jest ważna integracja,
a już za objaw miał sklerozy,
że nie powstają tu kołchozy.

— „Do licha!” — mawiał — „ten król kmiotów
socjalizm cały zepsuć gotów!
Zawsze był z niego niedołęga,
do pięt mi nawet nie dosięgał.
Miał rację Warski i Leszczyński,
że tu potrzebny jest Dzierżyński,
albowiem bez żelaznej miotły
wszystko rozniosą ciemne kmioty,
szczute przez kler i czarną sotnię,

i już niczego się nie dopnie,
bo zamiast elektryfikacji
powstaną rządy ochlokracji!

Już wstrzymał, dureń, szereg budów,
więc cóż o rządach mówić ludu?!
Gdzie spojrzeć, wszędzie sklepikarze
swe czelne pokazują twarze,
najbardziej zaś w tym wszystkim wścieka,
że właściwego brak człowieka,
i to nie tylko u nas w kraju,
lecz i na wschodzie, w cudzym raju!"

I w oku zaraz łza mu szkli się,
a z piersi jęk wyrywa skargi,
bo się czerwienieje mu od wisien
przypominają wodza wargi.

— „Jak oni go potraktowali!” —
myśli z goryczą. Lecz się fali
ból nie podda. Choć weteran,
będzie swe wszystkie siły zbierał,
aby szaleństwu stawić czoła.
Choć wie, że wiele sam nie zdoła,
lecz w końcu wyda rezultaty
przykład, który tu dał przed laty!

Dla naszych zuchów to wprost gratka
za wroga mieć takiego dziadka.
Toteż go Rurka bez kłopotów
dokoła palca wnet omotał.

Rurka wnet pojął, że przyk stary
pyszny i próżny jest bez miary,
że zaś cechuje autokrację
to, iż chce ona wciąż mieć rację,
i ten, kto nie chce wejść we wtór jej,
straszliwe wywołuje furie, —
w zanadrzu cały plan miał gotów:
skłócić ze sobą dwóch despotów.

Większy mniejszego wtedy zetrze
i czasy wnet nastaną lepsze.
Zaczął podjudzać więc Wardęgę
na Gnoma — tego niedołęgę:

że chłopom daje on nawozy
zamiast powsadzać ich do kozy,
przez co nasz główny cel — kołchozy —
w odległą przyszłość się oddala,
że kapitalizm wręcz utrwała,
bowiem pozwala mieć walutę
ustrojów, które są zepsute,
że zamiast tępić wrogie stonki
ma w głowie pokos i kiszonki
i — co zakrawa już na faszyzm —
zaczął popierać w kraju naszym
produkcję drobnotowarową,
ową straszną tysiącglową
hordę ohydnych badylarzy,
co o sanacji rządach marzy.
W dodatku, jak się stale słyszy,
tępi szlachetnych towarzyszy,
bo Berman oraz Minc Hilary,
ludowej władzy dwa filary,
leżą strzaskane Gnoma ręką
i nawet im nie wolno jęknąć!
Ach! jak tak wszystko pójdzie dalej,
to się socjalizm nam zawali!
Stąd obowiązkiem jest Wardęgi
śmiała krytyka niedołęgi!

Wardęga wnet w to wszystko wdał się,
zaczął na Gnoma grzmieć publicznie,
a Rurka tylko z niego śmiał się,
do KC śląc donosy liczne.

Lecz Gnom, czy że miał sentymenta
do swoich dawnych towarzyszy,
czy że go śmieszył wprost Wardęga —
nic o dymisji nie chciał słyszeć.

Złościł się, wrzeszczał, tupał nogą,
lecz w końcu rzekł: „Zostawmy no go!
A gdy się jeszcze raz wychyli,
wyleci z Pcimia w jednej chwili!”

Wydarzeń rozwój dzielnym sprzyjał,
Gnom bowiem z Bagnem zawarł sojusz.
Pomyślał Rurka: „No, mam kija!
Teraz to ja załatwię go już!”

I oto wielki dzień nadchodzi:
konflikt na Bliskim wybuchł Wschodzie;
choć wywołali go Arabi,
cały SOC krzyknął: „Żyda zabij!”

bo to ohydny jest agresor,
który wbrew naszym interesom
miast dać się zjeść w sosie harissa
śmie swego państwa bronić dzisiaj!”

— W przedziwnej analogii z Gnomem
Wardęga miał Żydówkę żonę.
Był 6 czerwca i Sabinę
w tym dniu wypadły urodziny.

Jak zwykle, było u Wardęgów
przyjęcie dla partyjnych kręgów,
był więc i Rurka ze Szmaciakiem.
Szmaciak obżerał się ze smakiem,
bo pipek, karp, pieczeń z gęsiny
ambicją były wprost Sabinę,
dzielnie też pejsachówkę doił,
więc, żeby całkiem się nie spoił
— i z innych ważnych względów zresztą —
pomimo krzyków i protestów,
że to jest pora dla dziecięcia —
Rurka wyciągnął go z przyjęcia.
Gdy go holował przez ulice,
Szmaciak przyjęciem się zachwycał:
— „Przyjemnie było u Żydówki!”
Rurka mu na to: — „Ty półgłówku!
Ty chyba nie wiesz, co tu gra się!
Wardęgę kończym w szybkim czasie!”
I mu tłumaczy, nie bez trudu,
jak dokonają tego cudu.

Depesza pędzi już do Gnoma:
„WARDEGA — ZDRAJCA (punkt i koma)
WYPRAWIŁ BAL I AŻ DO RANA
TOASTY WZNOSIŁ ZA DAJANA
OBECNI BYLI (punkty dwa tu)
PAWLAK Z PZG, SZWARC Z POWIATU
A Z PRN-u PYĆ I PACIAK
NA DYREKTYWY CZEKAM — SZMACIAK”.

Gdy tak Wardęgę z politycznej
sceny usunął w sposób dzielny,
w megalomanię popadł Rurka
i zaraz zrobił się bezczelny.

Kpił ze Szmaciaka w żywe oczy,
a gdy się ten na niego boczył,
to mówił doń: — „Zakuta pało!
Czy wiesz, co by się z tobą stało,
gdybyś ty we mnie nie miał druha?
Do dziś byś jeszcze konia ruchał!
a przed Wardęgą, tym pierdołą,
jak małpa skakałbyś wokoło!
Więc przestań krzywić głupi pysk swój
i mnie ucałuj, a nie pyskuj!”
— Tu Szmaciak padał mu w ramiona
i wołał: — „Chłopie, niech ja skonam!
Chociaż masz ozór zadzierzysty,
to my — kamraty! Vivat Skisłe!”

Lecz choć był Szmaciak tak otwarty,
zwolna zaczęły Rurki żarty
zachodzić mu za grubą skórę;
a wraz z tym myśli też ponure
zaczęły mu się we łbie lęgnąć,
że Rurka może władzy sięgnąć,
że go oszukać chce, jak nieraz,
że to jest chciwiec, łotr i sknera,
że go kantuje przy podziale
dochodów z kombinatu stale,
że jest podstępny, groźnym gadem,
co zawsze knuje fałsz i zdradę.
I zaczął przemyśliwać nad tym,
jak by się pozbyć tego drania,
lecz przychodziły mu do głowy
tylko banalne rozwiązania:
nóż w plecy albo do władz donos.
Tu jednak wciąż ostrzegał go nos,
że choć wilk nosił razy kilka,
to poniesiono też i wilka
i że ma Rurka też atuty,
żeby mu za to uszyć buty.
Westchnienie przeto z siebie wydał:
— „Ach, drugi Rurka by się przydał!”

Nie mogąc nic wymyślić z sensem
męczył się, jak ze złym koszmarem,
aż się zdarzyły dwa afronty,
co przepełniły pełną czarę.

Pierwszego doznał nie od Rurki,
lecz od Marylki, jego córki.
Marylka, piękna Rurki córka
w wir uciech płciowych dała nurka
i tak ten żywioł pokochała,
że bez ustanku nurkowała.
Toteż w playboyów pcimskich gronie
inaczej nie mówiono o niej
jak: „Majka-Dmucha” lub „Majka-Rura”,
lub też po prostu: „Szał-nie-dziura”.

Puszczą się jak wszyscy diabli.
Ku oburzeniu też notabli
puściła się z młodym Wardęgą,
chłystkiem, co ślęczał wciąż nad księgą.
We łbie miał mętlik ten Wardęga —
nie pił, nie palił, tylko gęgał,
przez co w aferę szybko wdał się
antypaństwową. Szmaciak śmiał się,
patrzac jak stary jak w ukropie
związa się, by ratować chłopię.
— „Nie to — pomyślał — jak mój Józek!
O, ten to ma już chody duże
i w MSW, i na uczelni!
Tak, bo są Szmaciakowie dzielni!”

Lecz myśl o zdobyciu Marylki
spokoju mu nie daje chwili.
Jak o największej marzy frajdzie,
żeby poskakać na tej srajdzie.
Niedawno opowiadał Zdzisiek:
„— Te małe są najlepsze dzisiaj!
Bracie — powiada — niech ja skonom —
nie ty ją, ale ciebie ona!
A takie znają mnóstwo figur,
że się po prostu we łbie miga!”

Wkrótce nadarza się okazja,
bowiem u Rurków jest kolacja,
a po kolacji się zaczyna
słynny mecz Polska-Argentyna.

Zasiedli przy telewizorze.
Rurka usiedzieć ledwie może,
straszne ogarnia go przejęcie —
że Polska wygra, wierzy święcie.

Szmaciak, co siadł koło Marylki,
spokoju nie ma ani chwili.
Marylka jest w sukience mini,
Szmaciak się z podniecenia ślini,
tak niebywale go podnieca
ten krągły biust, ta krótka kieca.

Tymczasem na małym ekranie
straszne odchodzi przepychanie,
bo nikt nie może strzelić gola —
ni Argentyńczyk, ni też Polak.

Pod bramkę ciągnie z piłką Żmuda.
Ach! musi, musi mu się udać!
Lecz oto nagle mu Gonzales
znieńacka z prawej strony załazł.
Odbiera piłkę, pędem leci,
za nim Lubański, Corzo — trzeci,
przejmuje piłkę od Gonzala
i ją kieruje do Epsteina —
ach! waży się zwycięstwa szala!
i nagle — rany! nadzwyczajne!! —
To pięknym rajdem Gmoch się wdziera
pomiędzy nich, piłkę odbiera...

Wszystkich porywa ten rajd Gmocha,
tylko Szmaciaka — ani trocha,
bo mózg zajęty ma czymś innym
i nagle — ruchem jakże gminnym! —
znieńacka Majkę za najlepszą
część jej damskiego ciała złapał —
— „Spieprzaj z łapami, stary wieprzu!” —
syknęła, bijąc go po łapach.

Strasznie Szmaciaka to ubodło.
Ach, zgnoiłby tę sukę podłą!
Ale, niestety, są układy,
a na układy nie ma rady!

Tymczasem w kuchni kłótnia wielka
wybuchła. Szmaciakowa Helka
za łby się wzięła z Rurki żoną —
ledwie te baby rozdzielono!

Tak jak to bywa w damskim świecie,
spór cały zaczął się od dzieci.
Helka zaczęła od przechwałek,
jakie pociechy ma wspaniałe,
jak Józek radzi sobie świetnie,
jak kończy studia wieloletnie,
właśnie zapisał się do partii.
O Lilkę także się nie martwi,
bo jest wzorowa uczennica,
nie jakaś siksa, latawica! —
Tu jadowicie na Rurkową
spojrzała. Ta jej wpadła w słowo:
— „Nie dziw, że pęd ma do uczenia,
bo całkiem brak jej powodzenia —
taka jest tłusta i niemrawa!”
— „A twoja wszystkim się nadstawia!” —
krzyknęła wściekle Szmaciakowa.
No i od tego poszło słowa;
już straszny krzyk, we włosach palce,
w nieubłaganej dyszą walce,
z odsieczą już panowie pędzą,
lecz jak dać radę takim jędzom!
Z trudem je rozdzielili wielkim,
Szmaciak do wyjścia ciągnie Helkę,
a ta nogami się zapira
i krzyczy: „zdzira! zdzira! zdzira!”

Ledwo ją wyprowadził za drzwi.
Tam szloch, krzyki i wariacje.
By ją do domu wreszcie dowlec,
zrobił jej tęgi schabów oklep.
Wrócili więc w humorze kwaśnym.
Szmaciak się kładzie, rad by zasnąć,
lecz Helka w łóżku mu podtruwa,

i to plugastwo w ręku mamy,
a że dziś bankiet pożegnalny,
więc je publicznie tutaj spalmy!”

Rurka nie wierzył ani słowa,
lecz Szmaciakowi podziękował,
pomyślał tylko sobie w duchu:
— „Ty skurwysynie! Ty świętuchu!
w ładną tyś wciągał mnie kabałę!
Niestety! Rączki masz za małe!
Chętnie bym cię po mordzie łupnął,
lecz strach dotykać takie gówno!”

Na tym ten rapsod o przyjaźni
możemy już zakończyć śmiało.
— No dobrze, dobrze! — wykrzykniecie,
ale co stało się z Deptałą?!

Ach! któż to wie?! Czy to jest ważne?
Lepiej pilnujmy sprawy własnej.

Może mu na łeb spadła blacha?
Może ktoś w bójce go zaciachał?
A może, całkiem tak po prostu,
po pijanemu zleciał z mostu?

Dość, że słuch po nim gdzieś zaginął,
lecz wiercie, nie jest to mą winą.



Uff! Wreszcie koniec retrospekcji!
Już się podnosił głos obiekcji,
że dość tych gład! Jak długo można?!
że to jest jakaś mania zdrożna,
te skoki w bok! Więc właśnie kończę
i już, jak dwa bieguny, łączę
początek z końcem opowieści...

.....
.....

W głowie Szmaciaka się nie mieści,
jak powstać mógł tak straszny skandal.
Przekłeta gryzipiórków banda
wpuściła czerń do Komitetu!
Gdzie tu Wylizuch?! Felczak — gdzie tu?!!

Słyszysz spokojny głos Deptały:
— „Próżno ich wołasz! Te zakąły
poszły już tam, gdzie wy pójdziecie,
bo sprawiedliwość jest na świecie
i choć myślałeś, żeś ją spętał,
ona powstaje, nieugięta,
by cię dosięgnąć swoim mieczem —
przestań więc szumieć już, człowiecze!”

Gdy mówi tak, jedyne oko
zaczyna błyszczeć mu złowrogo.
Szmaciak się kuli pod tym wzrokiem,
poci się, blednie, łypie w boki —
ach! może już nadchodzi odsiecz,
może Maczuga wnet tu dotrze
z swych dzielnych chłopców rotą śmiałą,
która porządek zrobi pałą!

— „Swych wiernych nie wypatruj zbirów! —
słyszysz znów groźny głos Deptały —
Dzień sądu jest! Więc się te zuchy
do mysiej nory pochowały!
Ty, bracie, lepiej odmów pacierz,
bo próżno ci testament robić —
przepadło zagrabione mienie
i czas do śmierci się sposobić!
Nadchodzi wreszcie czas zapłaty,
za wyzysk, nędzę, za cierpienia,
za nasze połamane gnaty
i życie pełne poniżenia;
za to, że pierwsza lepsza świnia
mogła pomiatać tu człowiekiem,
za to, coś ze mną ty wyczyniał,
gdyś mnie katował przed ćwierćwiekiem,
za to, żeś razem z swym kompanem
wyciskał siódme poty ze mnie,
za to, żeś jak wół tyrał, aby
kanaliom żyło się przyjemnie
i za to jeszcze, żeś podstępem
unurzał w błocie mnie i zgnoił
zmuszając, abym pisał donos —
zapłacisz dzisiaj życiem swoim!”

Szmaciak się przeląkł nie na żarty,
zrozumiał: idzie tu o życie,
więc na kolana padł i błaga:
— „Wy tego przecież nie zrobicie!
Jam jest niewinny! jam chciałem dobrze,
lecz ciągle mnie zmuszali ONI!
Jakże IM mogłem stawiać opór,
kiedym pistolet miał przy skroni?!
Zrozumcie, bracia, w tej podłości
inni szatani byli czynni!
nie miecz karajcie, ale rękę —
to ICH karajcie, ONI winni!”

Robole, którzy wraz z Deptałą
się znajdowali w Komitecie,
ryknęli na to gromkim śmiechem,
a Szmaciak: — „Czego się śmiejecie?”
Odrzekli mu wesołym chórem:
— „Przestań te brednie pleść ponure!
Z nas już nie zrobisz idioty,
my dobrze wiemy: ONI — to ty!
oraz podobne tobie bydlę!
A że nam już doszczętnie zbrzydło
poić krewią własną takie trutnie,
rzeźnik ci zaraz głowę utnie!
Rzeźnik, nie kat — boś ty jest świnia!
A potem z ciebie tu masarze
pęta kiełbasy wnet uczynią,
które sprzedamy na bazarze
po znacznie obniżonej cenie.
Mięsa jest dzisiaj brak szalenie
i mówi o tym się bez przerwy,
że wykorzystasz trza rezerwy!”

Szmaciak chce zemdleć, lecz nie może
i słyszy, jak już ostrzą noże!...

.....
Tu się na szczęście ze snu zbudził.
Ostrzenia dźwięk, który go zbudził,
to tylko terkot telefonu.
Szmaciak na poły rozbudzony
przykłada słuchawkę do ucha
i machinalnie mówi: — „Słucham?!”

Dzwoni Maczuga, pełen werwy:
— „Waldek! ja dzwonię tu bez przerwy
chyba godzinę! Co jest, bracie! —
wy dzwonek tu nie odbieracie?!
Słuchaj — powiada — jest już klawo!
Porozumiałem się z Warszawą
i proszę! Są gołędziniacy!
Chłopie! jak oni się przy pracy
zwijają! Lecą tylko wióry!
Pały, jak w bęben, wałą w skóry!
Ale dostają tu po głowie!
Powiada jeden mi kapitan:
— „Zrobim im taką ścieżkę zdrowia,
że się odechce żyć bandytom!”
Bo oni to w szeregu pranie
zwą „ścieżką zdrowia” — fajne dranie!”

Szmaciak mu tutaj w słowo wpada,
lecz będąc na pół rozbudzony,
sam dobrze nie wie, o czym gada,
lecz tylko ryczy jak szalony:
— „Bijcie ich, sieczcie, rznijcie śmiało
po zębach, nerach i po kroku!
Ale rozprawcie się z Deptałą!”

— „Waldek tyś chyba jeszcze w szoku!” —
w słuchawkę krzyczy mu Maczuga —
„albo wariata ze mnie strugasz?!
On zmarł wszak ubiegłego roku!”

Przyjemnie słyszeć prania rumor,
choćaby i uszami duszy.
Szmaciak więc znów odzyskał humor
i ku lodówce żwawo ruszył.
On elegancję dziś chromoli!
Więc wprost z butelki wodę goli.
Przez dłuższą chwilę słyhać gulgot,
a potem Szmaciak wzdycha z ulgą.

Lecz choć odporne są Szmaciaki
i mogą wchłonać wody morze,
istnieje punkt krytyczny taki,
po którym Szmaciak też nie może.

Wtedy zjawiają się majaki,
roją się wokół białe myszki,
pysk robi się fioletowy
i ma się skłonność do zadyszki.

I oto mu się nagle jawią
upiory wykończonych istot,
niektóre z nich wciąż jeszcze krwawią,
inne czuć ziemią i zgnilizną.

I napierają groźnym tłumem,
rąk martwych wyciągając szpony,
obłądny strach za gardło chwyta
i Szmaciak ryczy jak szalony.

Cofa się, ale nadaremnie!
bo oni idą zwartą ławą,
ze wszystkich stron go osaczyli
i zaraz mścić się będą krwawo.

Szmaciak zastawia się meblami,
oni na wskroś przez meble kroczą,
wali po łbach żelazną sztabą —
oni się nawet nie zatoczą.

Na twarzy czuje lekki dotyk,
jakby tam końska mucha siadła, —
ach! bo to nie są zwykli ludzie,
ale wyzute z sił widziadła.

Już zbliża się upiorny koniec,
już nie ucieknie im, nie ujdzie —
i Szmaciak zaczął wyc tak strasznie,
że się z okolic zbiegli ludzie.

Zadzwoił ktoś po pogotowie.
Kto? tego nikt się już nie dowie.
Wchodzą dwaj rośli pielęgniarze,
mają kamienne, tępe twarze,
w zbędne nie wdają się gadanie,
biorą go w chwyt. Już jest w kaftanie.
Szmaciak odjechał na sygnale,
lecz na tym się nie kończy wcale,
bo następnego dnia powraca.
Czeka go ciężka, trudna praca.

Komitet przeniesiono blisko.
Prowizoryczne ma siedlisko
w gmachu Komendy Powiatowej
MO. W swym nowym gabinecie
Szmaciak posępny i ponury
protokół z zajęć w paluchach gniece.

Za strach, za smak upokorzenia
zapłaci czelna mu hołota
i będzie dotąd gnić w więzieniach,
aż z niej zostanie kupa błota!
Tym zaś, którzy zostaną tyrać,
ach! lepiej by już im umierać,
bo w takie wtłoczy ich wędzidło,
że przez sto lat nie zipnie bydło.

Tak sobie Szmaciak mściwie roi.
Na korytarzu zaś już stoi
podwładnych tłum, aby bez zwłoki
stosowne zaraz podjąć kroki,
gdy tylko wódz rozkazy wyda.
Są to: milicji szef — Maczuga,
pan prokurator — Jan Szaruga
i bardzo tłusta biała gnida,
prezes powiatowego sądu.

.....

EPILOG

*w formie kupletów, śpiewanych przez chór
rozentuzjasmowanych czytelników:*

Wszystko się jednak dobrze kończy,
choć się mogło skończyć źle!
Choć straszne rzeczy się zdarzyły,
lecz się zdarzyły tylko w śnie!

Wszystko się jednak dobrze kończy,
bowiem się nie zdarzyło nic!
A to straszliwe zagrożenie,
to tylko humbug był i pic!

Wszystko się jednak dobrze kończy,
bo choć tragiczny powiał dech,
tragedia się zmieniła w farsę,
a przerażenie — w gromki śmiech!

Wszystko się jednak dobrze kończy,
choć się w oku kręci ła!
Z ufnością patrzmy w mętną przyszłość,
bo przecież wszystko nadal trwa!

Wszystko się jednak dobrze kończy,
bo kończy się triumfem zła!
Niech żyje Szmaciak! Hurra! hurra!!
A przed autorem — chapeau bas!

Warszawa, 1977.



ACHEVE D'IMPRIMER
LE 31 JANVIER 1978
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1978

Imprimé en France.

11 1.094.502

Orbis Books LTD
LONDON

8. XI. 78

Cena 20 F

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018156315